

„Sonata Belzebuba” w Narodowym

BARBARA KAZIMIERCZYK

Zupełnie „poza protokołem” (za jaki wolno uznać grudniowy finał przeglądu przedstawień wtkiewiczowskich w teatrach całego kraju) odbyła się premiera „Sonaty Belzebuba” w warszawskim Narodowym. Spektakl miał miejsce na deskach Dramatycznego, który udziela gościny, u siebie artystom Narodowego, p.d. zhaniej katastrofie. Dodajmy, że „Sonata...”, która została przygotowana przez reżysera Jerzego Krasowskiego, w oprawie scenograficznej Krzysztofa Pankiewicza i przez grających w tym przedstawieniu zespół (na czele z Aleksandrą Zawieruszką jako babcią Julią, Tomaszem Budytą — Istvanem i Haliną Kossobudzką — baronową Sakalą) warta jest uwagi z kilku powodów. Po pierwsze, jako oryginalny wkład Narodowego w obchody 100-lecia urodzin „samotnika z Krupówek”. Po wtóre dlatego, że stanowi zupełnie inną propozycję odczytania dramaturgii wtkiewiczowskiej niż te — zresztą dość rozmaite, we wszystkich zaprezentowanych na przeglądzie wypadkach będące dziełem reżyserów młodych — jakie mieliśmy okazję oglądać na wspomnianym finale, omówionym, przypominę, na łamach „Odrodzenia”. Po trzecie zaś „Sonata...” w reżyserii Jerzego Krasowskiego, którego nazwisko nie od dziś stanowi „firmę”, jest najwyraźniej w świecie dobrym przedstawieniem, i to pod każdym względem, zarówno koncepcyjnym, reżysersko-scenograficznym — jak i wykonawczym. Dość więc chyba powodów, ażeby jej poświęcić skromne choćby omówienie.

Zacznijmy od scenografii. Krzysztof Pankiewicz dał tym razem wizję wyjątkowo powściągliwą w ogólnym wyrazie plastycznym. I przez to tym bardziej przejmującą w scenach wtkiewiczowskiego piekła, domagających się bardziej spotęgowanej eks-

presji, niż w epizodach rodzinnej, cokolwiek tylko zrazu podszytej wariacjami idylli w Mordowarze, węgierskiej miejscowości nad jeziorem u stóp góry Czika. Miejsce to jest jak wiadomo, w „Sonacie Belzebuba” siedzibą arystokratyczno-cyganeryjnego towarzystwa, w którym pierwsze śluzypce, grają: nieudany kompozytor, Istvan Szentmichalyi marzący, na razie bezskutecznie, o utworze swojego życia (i gotów, dla osiągnięcia tego celu, na wszystko, włącznie z oddaniem duszy diabłu). Dalej — baronowa Sakala — świętna w tej roli Halina Kossobudzka, ze swoim synem nieudacznikiem — Markiem Wysockim, jego narzeczoną Krystyną Ceres — Ewą Serwą, i z nieodzowną w dramacie wtkiewiczowskim „femme fatale”, tym razem nazywającą się Hildą Fajtcacy, grana przekonująco przez Krystynę Mikołajewską. Patronująca całemu temu towarzystwu, trochę z wiedeńskiej operetki przełomu wieków, a trochę z bajki dla lubiących być straszonymi dzieci, babcia Julia Zawieruszanka użyczą toczącej się zrazu nieco sennie akcji lekko satanicznego klimatu, tak charakterystycznego dla utworów Witkacego. Kiedy zaś spokój owej cokolwiek porośniętej rzeszą sadzawki, jaką jest dwór w Mordowarze, zmać przybycie samego Belzebuba, ukrywającego się pod przebraniem egzotycznego hodowcy byków, Joachima de Campos de Baleastadar (Bogusz Bilewski) i kiedy się okaże, że niestarzejąca się dziwnie babcia Julia jest ukochaną diabła, odąd wypadki potoczą się już z szybkością oszalałąjąca...

Zwiedziwszy wraz z bohaterem i jego przyjaciółmi rejony podmordowarskiego piekła (dziwnie przypominające paryski kabaret nie najwyższej klasy) staniemy się następnie świadkami błyskawicznego rozkwitu talentu Istvana. Niesłychane

erupcji jego sił twórczych, opłaconej niestety tragicznie, ostateczną degeneracją sił umysłowych i fizycznych, aż po wieniec powstania nieśmiertelnej kompozycji, tytułowej Sonaty, samobójstwo artysty... Rzecz bowiem, zamykająca w dorobku Witkacego ciąg dramatów poświęconych „metafizyce twórczości”, stara się zgłębić wielorakie uwarunkowania i konsekwencje „życiowe” uprawiania sztuki. Tej z gruntu, w ujęciu Stanisława Ignacego, tajemniczej dziedziny ludzkiej aktywności. Sztuka w „Sonacie Belzebuba” — podobnie zresztą jak w innych utworach tego autora, na czele z „Kurką wodną” i z „Onymi” — źródło najwyższych duchowych doznań, do jakich jest zdolna jednostka, może też stać się — i staje najczęściej — przyczyną jej ostatecznego upadku. Jak w sataniczno-artystycznej przygodzie Istvana, granego z umiarem a przecież nader wiarygodnie przez Tomasza Budytę. (Kolejna to udana rola młodego, utalentowanego aktora, po Segimundzie w sztuce Calderona „Życie jest snem”, nagrodzonym na festiwalu w Kaliszu).

Chodzi, rzecz jasna, o powracający i w „Sonacie Belzebuba” nieśmiertelny motyw faustowski. Opracowany przez Stanisława Ignacego Witkiewicza według recepty, której sekret, jak się wydaje trafnie, uchwycił Karol Irzykowski. Krytyk ten, w swojej recenzji z dramatów autora „Sonaty...” określił styl wtkiewiczowski jako parodiującą z reguły utworów znakomitych mistrzów, zrealizowane stylem „wysokim”, „mieszające filozofii, impertynencji i dzikiego humoru”. Jerzy Krasowski, odczytując „Sonatę...” bez zbędnych udziwnień, z właściwą sobie kulturą literacką i lojalnością wobec autor- skich przesłań, w sposób, chciałoby się powiedzieć, wręcz „klasyczny”, dał interpretację czystotką i nader

klarowną w wyłożeniu sawartych w tym utworze sensów. Wspomóżony przez scenografa, świetnie odgadującego jego intencje, i przez zespół, zgrany tym razem w sposób wręcz modelowy, od ról protagonistów aż po epizodyczne (wymieśmy tylko przeabawną ciotkę Istvana — Jadwigę Polanowską) reżyser „Sonaty...” dał spektakl w miarę rozrywkowy, w miarę zaś skłaniający do głębszej refleksji. Refleksja jest w tym wypadku na temat coraz to bardziej, zdawałoby się, egzotyczny w naszej, zwróconej ku więcej uchwytym walorom, epoce. Przez to zaś, trzeba to powiedzieć, temat tym bardziej cenny. Czyż wszystkie te kłopoty, natury głównie materialnej, jakie obecnie przeżywamy, powinny zastąpić w naszej świadomości miejsce, jakie w normalnych warunkach przypada sztuce i aktywnie uprawianej twórczości? Oto i jedno z pytań, jakie stawiamy sobie niejako na marginesie tej kulturalnej i przesyconej integralną refleksją zabawy, którą pám oferuje nowy spektakl wtkiewiczowski. Spektakl w wykonaniu teatru, którego forma, krzepnąca w tak trudnych warunkach, po jakże bardzo skomplikowanych początkach, nie może nie cieszyć. Stawiamy sobie tamto pytanie poniekąd en passant, ażeby spostrzec, jak gdyby nie bez zdumienia, że Witkacy anno 1986, w warunkach naszego polskiego kryzysu, okazuje się być autorem... po prostu użytecznym.

Przekorne to zza grobu zwycięstwo kogós, kto po dziś dzień nie myśli dawać spokoju swoim późnym wielbicielom i odkrywcom. Jak gdyby się mścił, w sposób sobie jedynie właściwy, na naszym dalekim od doskonałości plemieniu za niedocenie- nie go za życia.

*) Stanisław Ignacy Witkiewicz „Sonata Belzebuba”, reż. Jerzy Krasowski, scen. Krzysztof Pankiewicz, muz. Adam Wałciński. Teatr Narodowy w Warszawie, premiera grudzień 1985.



„Sonata Belzebuba” — scena zbiorowa